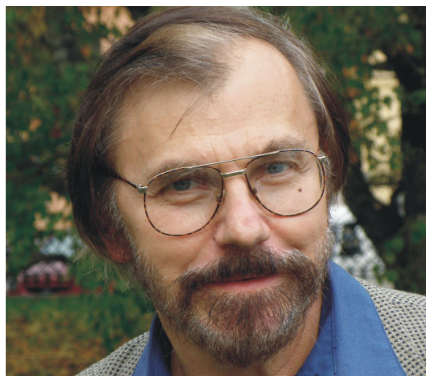


Listy do Pani A. (62)

Gródek –
(o)Gródek

Droga Pani!

Niespodziewanie zadzwonił do mnie Adam Siemieńczyk, poeta związany z grupą „Poezja Londyn”, obecnie działający aktywnie w Polsce, w Gródku koło Białegostoku, gdzie jest jego dom rodzinny. I właśnie ten dom chce Siemieńczyk uczynić swoistym centrum poezji promieniującym nie tylko na region, ale na kraj, a może na cały świat. Takie są jego ambitne plany.

Otóż Adam zapytał mnie, czy przyjechałbym do Gródka na spotkanie poetów. Choć nie miałem dużo czasu do namysłu, a jak Pani wiadomo z innych listów, namyślałem się długo, tym razem natychmiast odpowiedziałem twierdząco. Pojechałem samochodem, w towarzystwie Marleny Zynger i Ewy Zelenay. Bardzo dobrze się nam jechało. Wybrałem okrężną drogę, aż przez Hajnówkę, bo nie jeżdżą tamtędy, a przynajmniej rzadko, maszyny do mięsa, czyli tiry. Szosa główna z Warszawy do Białegostoku to przecież istna rzeźnia. Całą drogę rozmawialiśmy o twórczości, o poezji, trochę o tak zwanym „życiu”. Czas minął nam szybko, choć w końcówce podróży, już pod samym Gródkiem, poblądziiliśmy i nadłożyliśmy kilkanaście kilometrów. Ale od czego telefon. Wreszcie Adam wyszedł po nas, kiedy już byliśmy w miasteczku i doprowadził do samego domu.

Gdyby Pani zobaczyła, co to za dom! Przede wszystkim tworzą go cudowni rodzice Adama. Surowy, przynajmniej na pierwszy rzut oka, ojciec. I mama, przesympatyczna, ciepła kobieta. Oboje niezwykle gościnni tworzyli rodzinną, serdeczną atmosferę. Każdy był w ich centrum uwagi, nie czuł się zapomniany czy niedostrzeżony. Oboje rodzice byli żywo zainteresowani naszą poezją, uczestniczyli w naszych dyskusjach, posiadach, prezentacjach odbywających się przy ładnej pogodzie, właśnie w ogródku. A może sobie Pani wyobrazić, co to jest gościć pod własnym dachem taką poetycką bandę.

Kuchnia wspaniała! Dużo czasu spędzało się przy stole, na jedzeniu i rozmowach. A jak to wszystko było wspaniale przyrządzone... I ta niespotykana gdzie indziej gościnność, delikatność, kultura. Miałem wrażenie, jakbym się znalazł w czasach z „Nad Niemnem”.

Pierwszego dnia po obiedzie zwiędzaliśmy cerkiew w Gródku. Oprowadzał nas miejscowy proboszcz z długą siwą brodą, bardzo miły i sympatyczny. A wieczorem pojechaliśmy na Festiwal Młodej Białorusi „Basowiszcz” – największą na Białostocczyźnie imprezę rockową, która od 1990

roku odbywa się w uroczysku Boryk. Podjechaliśmy tam samochodami, które trzeba było zostawić na parkingu. A potem spacer przez las. Świecił księżyc. W oddali widać było Gródek i pięknie iluminowane kopuły cerkwi. Dochodziły nas odgłosy koncertu, co chwila wpadaliśmy na jakichś ludzi, bo w środku lasu zrobiło się zupełnie ciemno. Aż wreszcie dotarliśmy do estrady. Błyskały stroboskopy, nagłośnienie było potężne, ale jakoś „mieściło się” na tej polanie. W każdym razie bębni nam nie popękały. Byliśmy tam nie dłużej niż pół godziny, potem spacer powrotny, kolacja, rozmowy. Każdy z uczestników coś opowiedział o sobie, swojej pracy poetyckiej. W ten sposób wszyscy mogliśmy się poznać. Chociaż od lat znałem tylko Ewę Zelenay, Marlenę Zynger i Adama Siemieńczyka, nie czułem się obco, bo zaraz poznałem innych, wrażliwych, serdecznych, uzdolnionych ludzi.

Następnego dnia czytaliśmy wiersze w ogrodzie. Miało to swój urok i nastrój. Można poetycko stwierdzić, że słuchała nas cała przyroda, bo kiedy ostatni autor skończył czytać, dopiero wtedy zaczął padać przelotny deszcz. Żarty żartami, ale coś w tym jest. Na przyjeźdźnych, a zwłaszcza na miejscowych, działa osobiwa symbioza z naturą. Tam oddychałem inaczej, z dala od spalinowo-zatęchłej warszawskiej atmosfery, od najrozmaitszych afer, awantur biskupa z księdzem, politycznego wrzasku. Czy Pani tam ze mną była, ukryta w cieniu słuchała wierszy? Chwilami odnosiłem takie wrażenie, że jesteśmy razem.

Po powrocie do Warszawy spotkałem się z Krysią Konecką i jej córką Ewą, którą do tej pory znałem tylko z opowiadań. Krysia również o mnie jej różne rzeczy mówiła, tak więc nie byliśmy sobie obcy, a teraz tylko dopełniliśmy formalności osobistego poznania. Ewa mieszka w Anglii, przyjechała teraz na trochę do Polski. Bardzo miła osoba. Po obiedzie w Związku poszliśmy do Muzeum Literatury z zamiarem obejrzenia niewielkiej wystawy obrazów Wojciecha Weissa. Wystawa teoretycznie czynna była do 16.00. My przyszliliśmy o 15.30. Jakies straszne babsko stwierdziło, że jest już „po godzinach”, a teraz trwa „sprawdzenie”, więc mamy wy... (jść). Nic nie pomogły tłumaczenia, że Krysia jest autorką albumu, w którym znajdują się jej sonety inspirowane obrazami Weissa; że książka ta była prezentowana na otwarciu ekspozycji... Wszystko dobrze, ale jeśli jest koniec o 16.00, psim obowiązkiem było wpuścić zwiedzających, kiedy do terminu zamknięcia jest jeszcze pół godziny. Ale polski bajzel jest niezniszczalny.

Może nie tylko polski? Przypominam sobie tragiczną katastrofę kolejową w Hiszpanii. Pociąg miał prawo jechać osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, a grał sto dziewięćdziesiąt. Wszędzie zdarzają się nieodpowiedzialni ludzie. Kiedy jadę gdzieś samochodem, spotykam często jakichś pędzących idiotów, jakby chcieli się znaleźć w szpitalu albo w grobie na własne życzenie. Może nawet lepiej w grobie, bo tam już nikomu nie zaszkodzi. Chyba, że trupim jadę. Nawet jakiś pięćdziesięcioletni proboszcz został złapany po pijanemu za kierownicą. W głowie się nie mieści, żeby człowiek na jako takim poziomie, powołany do dawania przykładu, postępował jak zwykły kretyń. Nawet nie „jak”, bo j e s t kretyńem rzeczywistym. Niestety trafia się to nierzadko. Poczucie bezkarności i wrodzone chamstwo, to mieszanka wybuchowa. A kapłani są w przeważającej części tak pewni bezkarności, jak niegdyś esbicy.

A w ogóle nie ma chyba obszarów wolnych od idiotyzmów. Oto w Warszawie sąsiadują ze sobą dwie kamienice. Jedna jest „normalna”, druga zajęta

przez biura kancelarii senatu. Ci normalni zrobili sobie ogródek na dachu, posadzili kwiaty, warzywa, poziomki. Tymczasem rozrastające się krzewy przelały na stronę senatu. Tęgie senackie głowy z braku oleju i ważniejszych spraw uznały, że zaistniało „zagrożenie florystyczne”. Rozpętała się wojna pomidorowo-kwiatowa pomiędzy sąsiedzkimi wspólnotami. Tego by Mrozek nie wymyślił. Takich mamy teraz w kancelarii „senatu” osobników. Oświadczyli, że fasolka, pomidory i kwiaty przekroczyły nielegalnie granice wspólnot mieszkaniowych. Czyżby ci urzędnicy, to grupa uciekinierów z Tworek, która zorganizowała sobie dobrą zabawę w senat? Zresztą nieustannie mam takie wrażenie, kiedy zdarzy mi się oglądać jakiegokolwiek transmisje obrad sejmowych.

Nie, nie narzekam ani nie krytykuję. Po prostu jest to zwykłe zjawisko, że do każdej nowej władzy najbardziej pchają się idioci, złodzieje, pasożyty, wszelkiej maści nieudacznicy. Ale żeby po przeszło dwudziestu latach od tak zwanej „transformacji”? Może dzieje się tak dlatego, że to Polska właśnie...

Ale też istnieje inne oblicze społeczeństwa. Byłem znowu na uroczystościach z okazji rocznicy Powstania Warszawskiego. I to z własnych chęci, choć – jak Pani wie – nie lubię spędów i patriotycznej hucpy. Na tych koncertach i wspólnym śpiewaniu z roku na rok obserwuję zupełnie inną atmosferę, która wciąż mnie napawa niejakim optymizmem. W tym roku na Placu Zamkowym, bo Piłsudskiego rozkopany, co w zarażonej „Gronkowcem” Warszawie jest już normą. Było wielu młodych ludzi, którzy śpiewali pieśni powstańcze, a na ich twarzach malowało się wzruszenie. Starsi też śpiewali i słuchali z jeszcze większym przejęciem. Tu można było zobaczyć inną Polskę, inne twarze niż codziennie na ulicach czy w telewizyjnych transmisjach. Pani też tam była? Jestem przekonany, że tak!

Stałem naprzeciwko estrady, patrzyłem na przedstawiane na telebimie sceny powstańcze. I pomyślałem, że nikczemne jest wykorzystywanie dzisiaj Powstania do celów politycznych, buczenie, gwizdy, wymysły, co się zdarzało podczas składania wieńców na cmentarzach. Ten buczący motłoch nawet nie wie, że powstańcy także za nich (niestety) ginęli. Każdy więc ma prawo oddawać im cześć. Można się spierać o zasadność całej akcji, o politykę, ale nie wolno kwestionować szlachetności intencji ówczesnej młodzieży, którą decydenci, politycy i dowódcy dążący do własnych celów, mogli zmanipulować żerując na ich szlachetnej naiwności. Tak zresztą było w wszelkimi powstaniami i przewrotami.

A z drugiej strony czy nie jest przypadkiem celowym działaniem zbyt nachalne (bardziej niż w zeszłym roku) nagłaśnianie tych wszystkich uroczystości? Od dwóch dni nic, tylko Powstanie i Powstanie. Zupełnie jakby komuś zależało na tym, by to wszystko ludziom obrzydzić. W myśl porzekadła. „co za dużo, to i świnia nie zje”. Ale Plac Zamkowy pokazał, że to się tak łatwo nie uda.

Do takich refleksji dochodziłem słuchając piosenek powstańczych, obserwując skupione i wzruszone twarze; myśląc o Pani, o współczesności, w której przyszło nam żyć, pomimo wszystko lepszej niż okupacyjna i powstańcza. Można więc powiedzieć, że najlepsze dla człowieka są te czasy, w których został powołany do życia. Czy zgadza się Pani ze mną? Gorąco Panią pozdrawiam i pozostawiam z tą myślą –

STEFAN JURKOWSKI